

Robert Starzec
michu
oraz Wszehgalaktyczny
Sylwester

Robert Starzec
Michu
oraz Wszechgalaktyczny
Sylwester



powergraph

Warszawa 2007

Copyright © 2007 by Robert Starzec
Copyright © 2007 by Powergraph Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Katarzyna Sienkiewicz-Kosik, Alicja Bobrowicz
Korekta: Joanna Mika, Iwona Sękulska
Ilustracja na okładce: Tomasz Łaz
Projekt okładki: Rafał Kosik
Skład i łamanie: Powergraph

Wydanie pierwsze

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa
tel./fax (22) 631 48 32, (22) 632 91 55, (22) 535 05 57
www.olesiejuk.pl / www.oramus.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: (22) 834 18 25, (22) 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-00-4

Printed in Poland

Rozdział pierwszy

W grudniu po południu Michał Strumiński, zwany Michem, zobaczył drugie Słońce i to odmieniło jego życie. Słońce numer dwa miało uśmiech i dwoje czarnych wesołych oczu pośrodku jaśniejącej tarczy.

Trwała ostatnia próba szkolnego chóru przed noworocznym występem, zorganizowana w popłochu przez magistra Stefana Romanka. Michu, który podobnie jak nauczyciel muzyki Romanek – był głuchy niczym pień i kompletnie pozbawiony głosu – zjawił się wyłącznie po to, by na dzień przed sylwestrem zobaczyć Klementynę. Klementyna śpiewała w pierwszym rzędzie pośrodku, Michu stał z boku i jeśli się nieco wychylił, mógł podziwiać jej profil z zadartym noskiem w roli głównej.

Próba odbywała się w sali gimnastycznej, pod ob ręczęną od kosza, na pospiesznie poustawianych skrzyżniach. Michu zerkał na Klementynę, usiłując skupić

się na magistrze Romanku, który rytmicznie machał rozprostowanymi dłońmi i można by nawet pomyśleć, że trzyma między nimi cegłę, której nikt nie widzi. Nieustannie wodził oczyma po chórzystach. Właśnie zatrzymał wzrok na Michu i ocenił go przelotnie, lecz surowo. Zmarszczone brwi wskazywały, że magistrowi Romankowi nie podoba się ani waga Micha – dziesięć kilo za dużo ani sprana i zmaltretowana bluza z groźnym lordem Vaderem i napisem STAR WARS.

— *Ciiicha noc! Świąęęta noc!* — Michu wył najładniej, jak umiał, żałując, że w zgiełku, który tworzy, nie słyszy perlistego śpiewu Klementyny. Romanek zgromił go wzrokiem, więc Michu zamilkł i tylko ruszał ustami. Wiedział już świetnie, że ani ta próba, ani przedostatni dzień grudnia nie będą należeć do udanych. Odpuścił sobie śpiew. Postanowił zająć się czymś bezsensownym. Obserwował chwilę uczniów, którzy najwyraźniej nie mieli ochoty na dodatkowe kilka godzin wycia w pustej szkole. Spojrzał na Klementynę i przeniósł wzrok za okno.

Gapił się na zaśnieżone boisko, czarne drzewa bez jednego listka, zmarznięte ptaki i śnieżne czapeczki na słupkach ogrodzenia. Tu i ówdzie spod śniegu wystawały resztki liści. Dalej pędziły samochody. Pogoda jak na grudzień była ładna, tylko parę chmur przysłaniało niebo, słońce wisiało nisko, jakby od niechcienia. I właśnie od słonecznej tarczy odłączył się bliźniaczy kształt, z zawrotną prędkością mknąc w kierunku szkoły. Michu zamarł, pomyślał bowiem, że to rakieta pędzi co sił, by zrobić porządek z całym tym bałaganem. Chciał ostrzec resztę, ale nie zdołał wydusić nawet pisku. Patrzył więc, jak okrąg powięk-

sza się i nabiera wyrazistości. Leciał tuż nad blokami, emitując intensywne żółte światło. Michu zmrużył oczy i dostrzegł, że ta rakietą, drugie Słońce, Bóg wie co, ma zupełnie wyraźny, czarny uśmiech. Niemal szczyrzy się z zadowolenia. Dwie czarne plamy przypominały oczy i Michu mógłby przysiąc, że jedno mrugnęło.

Uśmiechnięte Słońce leciało wprost na szkołę, by zatrzymać się płynnie i zawisnąć nad boiskiem. Teraz Michu mógł już ocenić jego rozmiary – miało wielkość mniej więcej domku jednorodzinnego i kształt kuli. Być może z tyłu znajdował się silnik albo coś podobnego, jeśli oczywiście latające Słońca potrzebują silników. Michu zapomniał, jak się nazywa. Nerwowo grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu komórki z aparatem, nabrał powietrza i przerywając kolędownie, wrzasnął:

— UFO! Ludzie! UFO przyleciało!

Niestety, złośliwa i tajemnicza siła kierująca wszystkimi niezidentyfikowanymi światłami na niebie, a nawet nad boiskiem szkolnym, poderwała słoneczko ku górze, nim ktokolwiek odwrócił głowę. Pojazd zerwał się bez ostrzeżenia, zmieniony w smugę pomknął po skosie i przepadł, jakby go nigdy nie było. Trzydzieści zaciekawionych twarzy gapiło się na puste boisko. A trzydziesta pierwsza, ta nauczycielka, była wściekła.

Najpierw zaśmiał się tylny rząd, chórem basów w intensywnym stadium mutacji, potem zapiszczały dziewczyny, a nim zdołałbyś klasnąć, cała sala gimnastyczna rechotała, ile wlezie. Michu zaś pozostał z rozdziawionymi ustami i palcem wyciągniętym

w kierunku obojętnego nieba. Uczniowie bili o uda otwartymi dłońmi, ktoś się zakrztusił, ktoś znów beczał jak koza. Michu już opuścił rękę, rozejrzał się zdezorientowany i z przerażeniem stwierdził, że śmieje się także Klementyna. Trochę inaczej niż pozostali, tak półgębkiem. Ale się śmieje.

— Dosyć! — ryknął Stefan Romanek i śmiechy natchmiast ucichły. Nauczyciel już zmierzał w stronę struchlałego Micha, poły szarej marynarki łopotwały groźnie, brzmiał złowieszczy krok półbutów, a za grubymi szklami w plastikowych oprawkach oczy płonęły zimnym ogniem. Michu się skulił.

— Proszę, proszę, jak nam wesoło — Romanek zaczęła, a każde jego słowo ociekało ironią. Wykrzywił pociągłą twarz, która, nie wiedzieć czemu, skojarzyła się Michowi z ożywionym kawałkiem drewna. — Przecież muzyka, zwłaszcza kolędy i pieśni patriotyczne, są nudne, że aż proszą się o rozruszanie. Co prawda pamiętam czasy, kiedy młodzież jakimś nadludzkim wysiłkiem woli umiała śpiewać kilkadziesiąt minut bez wyglupiania się, ale teraz, jak na ciebie patrzę, to wspomnienie wydaje mi się snem.

Też chciałbym się obudzić, pomyślał zaraz Michu.

— Cały czas czytam i słyszę, Strumiński, że wy, młodzi, macie za dużo luzu, że nie ma kto się wami zająć, bo rodzice w pracy, a babcia na wsi. A nawet gdyby mieszkała w mieście, nie znaleźlibyście z nią wspólnego języka. A ja myślę, że wam się po prostu w głowach przewraca od tych filmów fantastycznych, którymi karmicie się od rana do nocy. I myślę sobie, Strumiński, że cieszyłbyś się, gdybym zaczął tutaj opowiadać o zielonych ludzikach.

O szarych, chciał powiedzieć Michu, ale ugryzł się w język. W uszach wciąż słyszał echo rechotu chóru i wybijający się zeń dźwięczny śmiech Klementyny.

— Ja ci się przyglądam, Strumiński, przez dłuższy czas i widzę, że jak dalej pójdziesz w tym kierunku, to daleko nie zawędrujesz. Ty myślisz, że dasz radę zdać do liceum, na studia, zostać magistrzem? — wyprostował się z godnością i poprawił okulary. Przejechał palcem po brodzie i dodał zaczepnie:

— Ale może ja się mylę i robię ci krzywdę. Powiedz mi, Strumiński, jak wyglądało to UFO?

Michu westchnął, nabrał powietrza, a że nic innego nie przyszło mu do głowy, postanowił powiedzieć prawdę. Gdy opisywał z detalami, jak od wielkiego Słońca, które wszyscy znamy, odrywa się drugie, maleńkie, po sali gimnastycznej przeszedł wesoły szmer. Romanek słuchał z uwagą, więc Michu opisywał kierunek lotu, tempo, nieosiągalne nawet dla rakiety, i zaczął opowiadać o uśmiechu z przodu pojazdu, powodując kolejny wybuch wesołości. Tym razem Romanek pozwolił klasie śmiać się do woli. Michu zawiesił głos, a w duchu przyznał, że gdyby ktoś inny mówił takie rzeczy, sam turlałby się po podłodze.

— No dobrze — Romanek poczekał cierpliwie aż wszyscy ucichną. — W takim razie może nam powiesz, gdzie to UFO jest teraz?

Z ust Micha wydobyło się sapnięcie, czuł, że tonie, woda zalewa już oczy, a łód daleko. Spojrzał na nauczyciela, poszukując ratunku lub chociaż furtki, którą zdołałby się wymknąć. Prawda go pogrążała, ale wybrał ją ponownie.

— Wykonało manewr i poleciało za szkołę. Nigdy nie widziałem, żeby coś startowało z takim przyspieszeniem — dodał cicho. Tym razem klasa ryknęła jak na zawołanie. Po twarzy Micha przeszedł skurcz, poczuł samotną łzę krążącą pod powieką. Ale jak ma się trzynastcie lat, rechotać można do woli. Płakać nie wypada. Klementyna patrzyła na niego z mieszaniną zdziwienia i strachu.

— Jak ciebie słucham, to myślę sobie, że ta cała ufologia powinna być zakazana. Powiedz mi, ile trzeba filmów zobaczyć, by z przekonaniem wypowiadać takie bzdury? — Ktoś zachichotał, inny parsknął wesoło. Romanek nachylił się nad Michem. — Potraktuj to jako lekcję, Strumiński, bo nikt nie chce dla ciebie niczego złego. To tylko twoja klasa. Jak będziesz brnął w to szaleństwo, ludzie będą śmiali się głośniej i częściej. Myślałem na początku, że robisz sobie żarty, ale ty naprawdę masz tylko kosmitów w głowie.

Jak echo, przez salę przeszła ostatnia już fala usłużnego śmiechu. Romanek wrócił przed chórzystów, prostując plecy i odginając głowę. Michu poczuł, że, wbrew grudniowi, straszliwie się poci. Otarł czoło, zerknął jeszcze raz za okno, w próżnej nadziei, że ratunek przyjdzie stamtąd. Słońce stało samotnie na niebie, a zamiast latającego pojazdu, nad szkołą śmignęła oglupiała kawka. Być może magister Romanek chciał wrócić do dyrygowania albo kontynuować wykład o szkodliwości wiary w pojazdy marsjańskie, jednak dał sobie spokój. Oklapł, westchnął.

— No i byłoby tego dobrego — powiedział. — Wypocznijcie sobie i wesołego Nowego Roku. Tobie też, Strumiński. Myślę, że jeszcze sobie porozmawiamy.

I nie zaszczycając nikogo spojrzeniem, z dostojeństwem człowieka, który zgłębił tajemnice gwiazd, opuścił salę. Za nim ruszyli chórzyci, szczęśliwi i po części wdzięczni Michowi, że swym wygłupem skrócił próbę. Pierwsi uczniowie już tłoczyli się przed drzwiami. Michowi nigdzie się nie spieszyło. Cała radość, związana z szansą ujrzenia Klementyny, ulotniła się bez śladu.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w oknie: ot, zwykły chłopak, może troszkę za kłocowaty, o mięsistej twarzy i lekko zadartym nosie, ze śladami trądziku na szerokim czole. Najprostsze jeansy na świecie, bez żadnych przebarwień i fabrycznych przetarć, i ta nieszczęsna bluza... – zmrużył oczy. Mógłby kupić sobie nową, ta jest już za mała i łokcie się starły. Westchnął. Zarzucił na ramię wojskowy plecak w kształcie kostki i, myśląc o śmiechu Klementyny, jako ostatni melancholijnie opuścił salę.

Dziewczyna czekała na korytarzu i Michu, już rozpedzony, omal jej nie staranował. Uniósł dłonie w przeproszającym geście, a Klementyna uśmiechnęła się słabo. Jej warkoczyki były aż do oblędu kasztanowe, oczy ciemne i ciepłe. Miała na sobie sukienkę na szelkach nałożoną na jeansy. Z bliska widział na jej kształtnym nosku ledwo widoczne piegi. Michu od września czynił podchody, zastanawiając się, jak tu zagadać, by nie wyjść na durnia, i teraz nie wiedział już, czy zwariować ze szczęścia, czy zwymiotować z nerwów.

Klementyna pojawiła się w szkole we wrześniu i trzymała się na uboczu, co Michowi bardzo się podobało. Przyjechała z małej miejscowości, Grudzią-

dza albo Otwocka, jej ojciec był kucharzem i gotował dla samych ważniaków, a matka uczyła w liceum. Michu nie wiedział, w którym, ale zamierzał zdawać do niego, jeśli Klementyna również tam by się wybierała.

Stali w pustym już korytarzu, białe ściany zdawały się zaciskać wokół przerażonego Micha. Za oknem koledzy i koleżanki pędzili ku wolności.

— Hej — powiedziała Klementyna, a Michu skinął głową. Przygryzła wargę, wyraźnie zakłopotana.

— Nie powinnam nabijać się z ciebie — wyznała.

— E tam — odpowiedział Michu. Właściwie to jej przerwał, bo otwierała już usta do następnego zdania.

— Nie powinnam, ale może był powód. — Stała oparta o ścianę, a plecak bujał się między jej nogami. — W mojej poprzedniej szkole miałam kolegę. Był nawet trochę do ciebie podobny, bystry, bardzo fajnie z nim się gadało.

Michu mechanicznie skinął głową. Oczy mu się świeciły. Klementyna natychmiast spoważniała.

— Zaczęło się od *Gwiazdnych wojen* — wskazała na Michową bluzę. — Oglądał je w nieskończoność, potem doszły inne filmy, zaczął przesiadywać na necie, kolekcjonować pisma o UFO, zamówił sobie nawet plakat na allegro, identyczny jak ten, który miał Fox Mulder.

— Mulder? — powtórzył Michu, zdziwiony, że Klementyna wie, kto to. Nie wyglądała na taką, co interesuje się amerykańskimi serialami o zjawiskach nadprzyrodzonych.

— No, Mulder. On chciał być właśnie jak Mulder, a kiedy się spotykaliśmy... — złapała powietrze. Przez

twarz Micha przeszedł skurcz. — Kiedy się spotykaliśmy, to gadał tylko o znakach na niebie, rysunkach indiańskich i innych tajemnicach, trzymany przed światem w ukryciu. Mówiłam mu, prosiłam, może coś innego, może gdzieś pójdziemy, może na spacer. To szliśmy, a on tylko gapił się w niebo.

Mówiła coraz szybciej, a Michu wytrzeszczał oczy.

— W końcu nie dało się z nim rozmawiać o niczym innym, nic tylko ślady i kosmiczne statki. I tak właśnie jest, Michał. Romanek może się czepia, ale ma trochę racji. Jak pytałam Krzyśka o cokolwiek, to schodził na swój temat. Wreszcie mówię mu, czemu po prostu nie kupimy sobie po lunecie albo posiedzimy u niego i nie pooglądamy zdjęć kosmitów. Bardzo się ucieszył i powiedział, żebym przyszła, bo ma trzy giga zdjęć wysokiej jakości. — Łzy napłynęły jej do oczu. — No i nie poszłam, bo nie jestem szara, nie mam wielkich oczu i metra wzrostu. Tak to właśnie było, Michał.

Powietrze, które wdychał, było zimne jak lód.

— Przykro mi — wykrztusił. Klementyna rozryczała się na całego.

— Guzik ci przykro! Guzik! — chlipnęła i pobiegła środkiem korytarza. Nagle odwróciła się, zapłakana, wymierzyła w Micha oskarżycielski palec. — Widzisz! Widzisz! Wszyscy jesteście tacy sami!

Trzasnęła drzwiami od szatni. Zrozpaczony i ogłupiały Michu wpatrywał się w geometryczne wzory na ubłoconej podłodze i czuł żal, wędrującą gdzieś z żołądka, przez serce, do krtani, aż odebrało mu oddech. Gdyby tylko mógł przewidzieć takie rzeczy, to siedziałby cicho, nawet gdyby latający spodek wy-

rznął go w czoło. Otarł usta i poświęcił kilka brzydkich myśli tajemniczemu Krzyškowi, który nie dość, że był palantem, to jeszcze, mimowolnie, pogrzebał wszelkie szanse Micha na zdobycie Klementyny.

W takich chwilach miał ochotę zaszyć się w najciemniejszej komórce na świecie, podkulić nogi pod brodę i czekać, aż wszyscy o nim zapomną. Skąd przyszło mu do głowy wrzeszczeć na całą klasę o pojazdach kosmicznych? Trzeba było robić zdjęcia i cicho siedzieć! – tak myślał, a cichy złośliwy głosik dopowiedział, że taką fotką z pewnością zainteresowałby się były zwariowany chłopak Klementyny.

Zgnębiony, wykończony niczym wnuczek po imieninach babuni, Michu opadł łokciami na parapet, zachodząc w głowę, czemu z milionów sposobów na zrobienie z siebie durnia zawsze wybierze ten najefektowniejszy. Spróbował znaleźć ukojenie w kontemplowaniu zimowego słonecznego krajobrazu, ale nie chciał pomóc ani oblodzony chodnik, ani poskręcane gałęzie, ani mur gimnazjum, ponury jak grobowiec. Michu pociągnął nosem. Zbierze się w sobie i przynajmniej do matury nie obejrzy *Gwiezdných wojen* ani żadnego innego filmu z kosmitami. Tak właśnie sobie obiecał. Z ciężkim plecakiem i jeszcze cięższym sercem powędrował w głąb szkoły, chcąc uniknąć spotkania wychodzącej z szatni Klementyny.

Skręcił w pierwszy korytarz, zastanawiając się, czy po świętach nie powinien zagadać do niej, że tylko tak sobie żartował. Pusta szkoła przypominała mu dom pogrzebowy. Poszukiwał jakiejś jasnej myśli, która pozwoliłaby ocalić najbliższe dni. I wiedział już, co ma robić – spróbuje zapomnieć o drugim

uśmiechniętym Słońcu, wyprze ze swojej głowy istnienie niezidentyfikowanych obiektów latających, nie będzie nawet patrzył w niebo, aż do dnia, w którym stanie się mądry, dorosły i przestanie widywać dziwne rzeczy. Tak właśnie zrobię, obiecał sobie solennie, gdy z bocznego korytarza wyłoniło się to coś.

Najpierw pojawiło się osiem pomarańczowych reniferów. Każdy miał złotawą, delikatną uprząż, która na oko zerwałaby się przy byle szarpnięciu, wszystkie też zadzierały dumnie czarne nosy. Z wyjątkiem ostatniego, którego nos był zielony i dwa razy większy, niż u pozostałych. Kiwał się przy każdym kroku. Renifery ciągnęły bogato zdobione sanie, z fikuśnie wygiętymi poręczami i pyskami metalowych wilków polarnych za oparciem. W środku, niczym sam sułtan, siedział Święty Mikołaj. Taki najprawdziwszy, z długą białą brodą, która nie mogła być doklejona, w czerwonym kubraczku i czapeczce, a zdumiony Michu stwierdził, że staruszek ma policzki czerwone jak logo coca-coli. Mikołaj patrzył przed siebie, niezmiernie zadowolony, a gdy dotarł na środek korytarza, obrócił ogorzałą twarz w stronę Micha i zawołał:
— Ho, ho, ho, ho, ho!

Renifery przyspieszyły, Święty Mikołaj pomachał na pożegnanie, a z ust Micha wydobył się świst, zdolny obalić stuletnią sosnę.

* * *

Michu wrócił do domu przekonany, że Romanek i Klementyna mieli rację. Zwariował z kretesem. Mógłby pozalić się mamie, ale ta poszła na nockę do szpitala, więc pozostawało mu co najwyżej wypłakać

się rybie, ziemniakom i kuchence mikrofalowej, w której miał odgrzać sobie obiad. Jedzenie smakowało jak plastik, równie dobrze mógłby połykać kotlet ze styropianu. Przed oczyma przesuwały mu się obrazy ze szkoły: uśmiechnięte Słońce, smutna, przejęta Klementyna, Święty Mikołaj. Z lodówki zdjął kartkę od mamy: *Synuś, odgrzej sobie obiadek i nie siedź za długo. Ściskam cię bardzo. M. PS. Zrobiłam ci koktajl z truskawek.*

Szkoda, że nie ma nic o wesołym słoneczku, pomyślał. Zmiał kartkę i schował do kieszeni. Nie będzie siedział długo, najchętniej zasnąłby już w tej chwili, a potem udawał, że nic tego dnia nie zdarzyło się naprawdę. Zastanawiał się, czy ma do kogo zadzwonić, żeby po prostu pogadać, a że nikt nie przyszedł mu do głowy, zabrał talerz z jedzeniem i ruszył do siebie. Jeśli nawet powziął mocne postanowienie wyrzucenia ze swojego życia wszystkiego, co nierzeczywiste i kosmiczne, stopniało ono w chwili, gdy przekroczył próg swojego pokoju.

Panował tam zaduch grobowca, gdyż Michu nie wietrzył ze strachu przed zimnem. Na ścianach, w równych rzędach wisiały plakaty: z trzech klasycznych części *Gwiezdnych wojen*, pierwszego *Terminatora*, *Zaginionej planety* i *Duchów Marsa*. Hellboy dumnie prezentował spiłowane rogi, Wolverine obnażył ostrza, a wklejone pomiędzy kąt a szafę z ubraniami upiory z *Mgły* Johna Carpentera niepokoiły intensywną zielenią. Jack Nicholson, przebrany za Jokera, nabijał się z Micha w najlepsze. U sufitu, zawieszona na mocnym sznurku, dyndała miniatura krążownika Imperium.

Większość miejsca zajmowała masywna szafa z ubraniami, zabawkami z dzieciństwa i masą cennego drobiazgu, którego Michu nie umiał się pozbyć. Obok chwiały się regały. Chłopak próbował go ustabilizować, podkładając zeszyty z podstawówki. Na półkach stały książki w trzech rzędach, ułożone osobno wedle rozmiaru komiksy oraz pudełka po oryginalnych grach komputerowych. Puste, gdyż płytki walały się w różnych, dziwnych miejscach.

Centralne miejsce, nad łóżkiem, zajmowała półeczka z figurkami, które Michu pieczołowicie zbierał, odkąd sięgał pamięcią. Nie wiedział, z której jest najbardziej dumny. Był tu Obcy z filmu Riddleya Scotta, niemal żywy, gotowy do skoku, z łapami wyciągniętymi, by pochwycić ofiarę, obok stał Jason z *Piątku Trzynastego* – na twarzy miał maskę hokejową, do ciosu unosił maczetę i mimo swej postawy był tak cudownie niegroźny, że można by go najać na imprezy okolicznościowe do przedszkola. Kto jeszcze? Hrabia Dracula w płaszczu czerwonym jak krew i Darth Vader z opuszczonym mieczem. Saruman i orki, sam Sauron z dłonią wyciągniętą po Pierścień, Aragorn i Gollum. Magneto. Wreszcie, Harry Potter, którego Michu już nie lubił tak jak kiedyś, ale nie miał serca, by schować do szafy. Za to ustawił go na samym skraju półki i to z nogą wysuniętą w powietrze. Gdyby młody czarodziej zrobił jeden jedyny krok, poleciałby głową w dół na zakryty kocem tapczan.

Michu toczył z mamą nieustanne boje o ścielenie łóżka – mama twierdziła, że sama świadomość rozbeblanej pościeli w Michowym pokoju odbiera jej sen.

Michu zaś wskazywał na bezsensowność zagrzebywania czegoś, co za parę godzin i tak zostanie rozgrzebane. Wreszcie wybrał rozwiązanie kompromisowe – starannie przykrywał tapczan kocem, tworząc pozór porządku. Pozór, bo pod spodem znajdowała się nie tylko poduszka z kołdrą, ale i masa drobiazgu, absolutnie niezbędnego przed snem: przynajmniej trzy książki, komiks w twardej oprawie o potworze z bagien, kartki z rysunkami i notatkami, skoroszyt oraz przynajmniej tuzin długopisów, cienkopisów i flamastrów.

O ile trzy ściany pokrywała szczelna warstwa plakatów, czwarta była niemal pusta. Tylko nad biurkiem, w antyramie, wisiała najważniejsza relikwia – oryginalny plakat z *Powrotu Jedi* z 1983 roku, dziś już wyblakły. Han Solo mierzył z pistoletu, Luke z laserowym mieczem szykował się do sparowania ciosu, Leia była prześliczna, a za nimi wyłaniał się złowrogi cień Dartha Vadera. Plakat przywiózł wujek ze Stanów, nawet nie wiedząc, jaki to skarb.

Pod plakatem stało biurko, wielkie niczym Michu, o ciężkich, metalowych nogach i czterech szufladach, z których każda mogłaby posłużyć za łódź ewakuacyjną podczas powodzi. Po obu stronach drewnianego blatu piętrzyły się papierzyska – podręczniki, zeszyty i cała fura gazet, które Michu prenumerował. Centralne miejsce zajmował spersonalizowany laptop o imieniu Zenek. Nazywał się tak na cześć cecia z gimnazjum, rzezonego Zenka, któremu brakowało dwóch przednich zębów. Analogicznie, laptop nie miał dwóch klawiszy, konkretnie: B i N, nad spacją ziała szczerba. Zenek był pradawnym IBM-em, po-